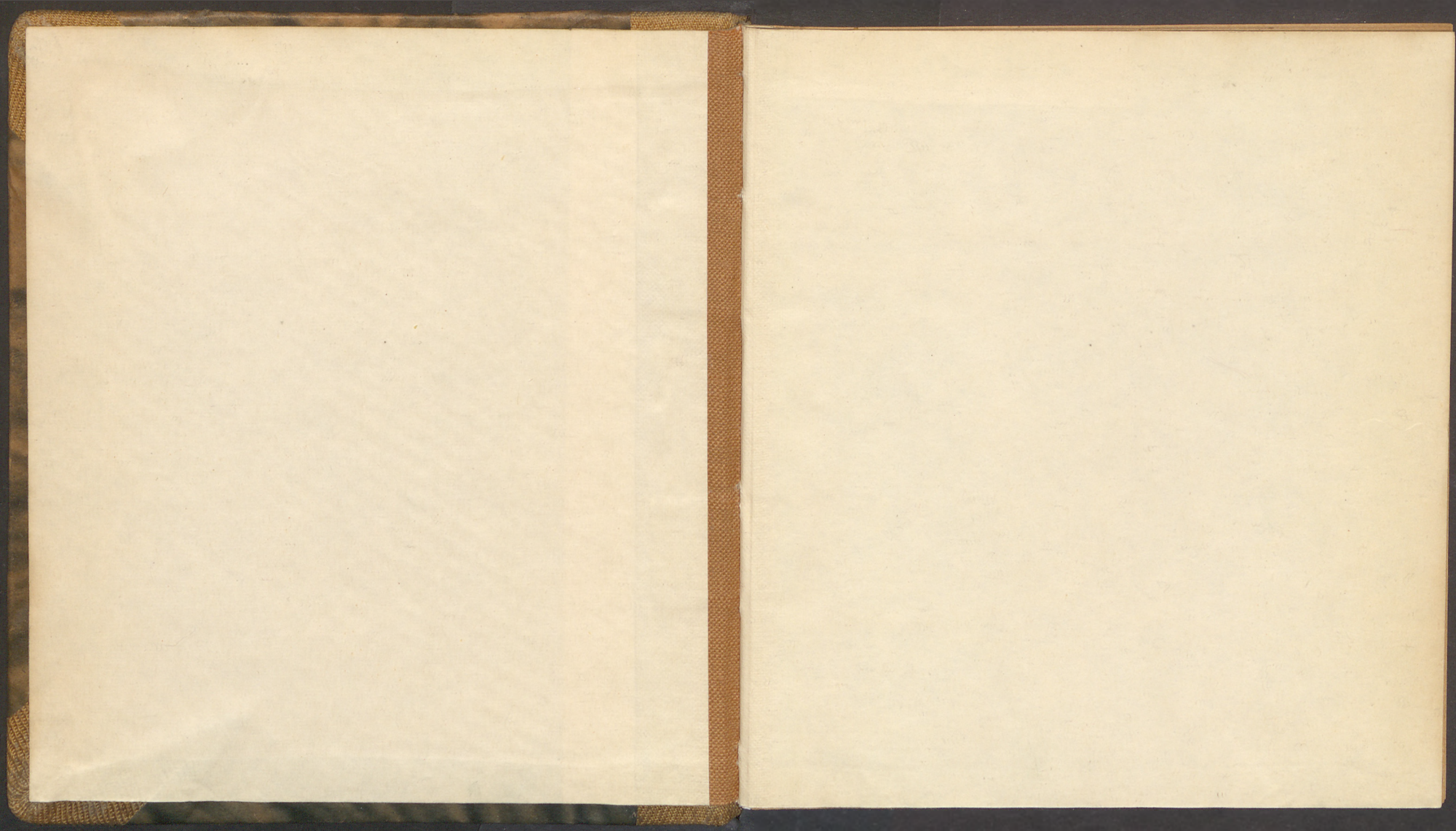


362505



Biblioteka
UMK
Toruń

362505

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI
BORUCH



BORUCH

362 505

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

■ ■ ■ BORUCH ■ ■ ■

NAKŁADEM DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE 1907.

362505



D. 2815/64



poniedziałek o godzinie czwartej popołudniu, Boruch, przybrany odświętnie, w pelerynie nowej, zapiętej pod szyję, w odprasowanym kapeluszu filcowym, wyszedł ze swojej stancyjki i stanął niespodzianie przed rodzicami.

Stary Nuchem popatrzył na niego podejrzliwie, następnie porozumiał się szybko oczami z żoną Ruchlą i znowu mierzył syna od stóp do głów.

— Boruch, rzekł, dziś jest dzień powsze-

dni, my wszyscy przy pracy, skąd ty tak odświętnie przybrany?

Boruch odparł:

— Tak, ojcze, przybrałem się odświętnie, choć na dzień powszedni, bo idę na robotę odświętną, a ta robota jest świętą.

Stary Nuchem wytrzeszczył oczy. Ale Ruchla wysunęła się nagle przed niego i ujawszy syna za pelerynę, zawołała nieludzkim głosem:

— Boruch, co ty tam ukrywasz?

Boruch odskoczył o krok wstecz, a zaslaniając się ręką, rzekł głosem przyciszonym, lecz niezmiernie stanowczym:

— Nie zbliżaj się matko! A zresztą to, co tu kryję, pokażę ci.

Odchylił pelerynę. Na dwóch czarnych wstążkach, w równie czarnej sakiewce zwiślał jakiś przedmiot.

Stary Nuchem chwycił się oburącz za głowę. W oczach kłębił mu się ogromny lęk. Poruszał zbielełymi wargami, nie mogąc jednak wymówić żadnego wyrazu. Natomiast Ruchla opanowawszy osłupienie i grożąc synowi ręką, wołała:

— Boruch, ja ciebie nie puszczę, ja ci zabraniam iść, ja ci rozkazuję zostać, ja, matka, masz mnie słuchać!

Boruch odparł smutno:

— Na nic, matko, wszystkie twoje zakazy. Albowiem jest tu wyższy, który się już w to wmieszał.

Stary Nuchem, trzęsąc się na całym ciele, podniósł obie ręce nad głowę i rzekł uroczyście:

— Dla dziecka niema na ziemi wyższego nad ojca. Boruch, powiedziane jest: ojca słuchać będziesz!

Ruchla przerwała mu jednak i wołała z goryczą:

— Ojca słuchać będzie? Matki? Który z nich dziś słucha ojca i matki? Starzy nad młodymi nie mają już żadnej władzy.

Rozplakała się. Nagle jednak otarła łzy fartuchem. Ogarnęła ją wściekłość, oczy piwne zaświeciły, krzyknęła:

— Znajdę ja jednak sposób na ciebie, Boruch! Oto wybiegnę na ulicę, będę wszystkich przyzywała, aby cię zatrzymali, narobię krzyku na całą dzielnicę.

Gdy tak wołała, grożąc synowi pięściami, zwolna dobrotliwa twarz Borucha stawała się straszna, bezwzględna, zakamieniała. Czarne brwi nad oczami zbiegły mu się w jedną krechę barwy sadzy, a modre oczy zaświeciły jak igły lodowe w słoneczny modry dzień zimowy. Tupnął nogą i krzyknął:

— Milczeć!

Krzyk ten i postawa syna osadziły zdumionych rodziców na miejscu. Tylko ręce im latały i wargi drżały. Boruch patrzył na nich długo, długo; powoli twarz mu miękła, oczy stawały się znowu dobrotliwe. Obu rękami ujawszy zwieszoną u szyi sakiewkę, uniósł ją w górę i rzekł szeptem dobitnym:

— Kocham was... wiecie najlepiej, jak bardzo was kocham... Ale jeśli staniecie mi na przeszkodzie, przysięgam, upuszczę natychmiast ten straszny przedmiot pomiędzy nas troje i zginiemy wszyscy!

Matka z bezsilnym płaczem opadła na krzesło i zakrywszy twarz rękami, cicho szlochała. Ojciec zaś, cofnąwszy się w tył o kilka kroków, to ręce podnosił, to je opuszczał, nie wiedząc, co począć. A Boruch dodał, jakby mówił sam do siebie:

— Lepiej raz zginąć, niż tak dalej żyć. Zresztą przysięgam: albo ja, albo on...

Nastąpiła cisza. Stary Nuchem opuścił w dół ręce, pokiwał głową i rzekł:

— Boruch, ty się ważysz na wielką rzecz!

Po chwili zaś dodał rozzwierającym głosem:

— Ty pójdziesz i nie wrócisz!

A Boruch odparł jak echo:

— Pójde i nie wróce...

Nagle podniósł oczy w górę. I Nuchem je podniósł. Spojrzenia ojca i syna spotkały się. Modre oczy Borucha stały się głębokie, rzewne. Siwe zaś oczy ojca pławiły się w niepoohamowanym żalu. Odemknęły się ich śluzę i łzy poczęły kapać szybko na zwiędłe lica, na długą brodę, na wytartą kapotę. Po długim milczeniu, przerywanem tylko cichem zawodzeniem matki, stary Nuchem wyszeptał:

— Na kogo ty idziesz?

Twarz Borucha ożywiła się, a na czoło jego wypłynął blask. Mówił z uniesieniem:

— Na kata idę, na oprawcę, na zwierza, który tyle krwi niewinnej wytoczył. Jakto? Wy nie wiecie, na kogo syn wasz tylko może pójść?

Głos jego z każdym słowem nabierał siły, a chociaż go wcale nie podnosił, staremu ojcu zdawało się, że to jakaś burza mówi, burza gromowa, która się dawno zebrała, ale teraz dopiero ją słyszeć. Kat, oprawca, zwierz! Ha, nietrudno się domyśleć! Przecież od pół roku nazwisko tego umundurowanego zwierza jak ryk w pu-

szczy leśnej obiega ulice i uliczki całej tej wielkomięskiej dzielnicy. Ile on rodzin unieszczęśliwił, ilu ludzi własnoręcznie zabił, ilu kazał zakłuć, ilu w cyrkule godzinami katował, ilu pod szubienicę doprowadził! Gdy razu pewnego dwoje dzieciątek przed nim klęczało i obejmując go za nogi, błagało, by im życie darował za niewinny figiel, dobył pałasza i ściał głowy dzieciątek, jak najwprawniejszy ścinacz-oprawca! Tłum wpędzał w zasadzki bramne i kazał rozstrzeliwać. Razu pewnego dwie służące, które do miasta wybrały się po zakup żywności, wpędził w dziedziniec ka-

mieniczny i tam przez żołnierzy rozniósł na bagnietach. Ale go tłum przychwycił i chciał na miejscu stracić. Wylękły, wybladły, ukląkł, przysięgał się, że wystąpi ze służby, że już więcej nie będzie działał przeciwko ludowi. I miękki lud uwierzył wilkowi zamienionemu w gołębia. Puścił go. A gołąb zamienił się w rysia, w kota, jeszcze tego samego dnia zabił kogoś własnoręcznie. Gazetom, które opisały ową scenę przeproszania ludu na klęczkach, wytoczył procesy o dyfamację pełniącego swą powinność komisarza policyjnego, o chęć zohydzenia w sposób kłamliwy władzy i to

w czasie stanu wojennego. Nuchem dowiedziawszy się zwłaszcza o owej historii z niewinnymi dzieciątkami, zatrząsł się z oburzenia. Wzdrygnęło się w nim całe człowieczeństwo i zawołał, zaciskając pięści: „Śmierć mu!“ W złą godzinę wypowiedział to okropne słowo!... Bo oto Los posłyszał i odkomenderował jego syna. Borucha przeznaczył, aby został mścicielem znieważonego ludu... On, ojciec, on, stary Nuchem, sam skazał syna na to! Dreszcz febryczny wstrząsnął starym, nieszczęsnym Żydem. Wierzył w potęgę Losu i w magiczną potęgę pomyslanej myśli. Wierzył, że

ta myśl musiała być pomyślana i musiała być pomyślana przez niego. Wierzył i trząsł się jak liść bezsilny, bo spostrzegł nieubłaganą konieczność, która stanęła teraz za synem i położyła rękę na jego młodzieńczym ramieniu. On pójdzie i nic go nie wstrzyma, nic go wstrzymać nie może, na to niema rady! Gdyby on, Nuchem, mógł jeszcze inną myśl pomyśleć! Ale — nie może. Tamta myśl była losowa i co najgorsze — sprawiedliwa. Dlaczego jednak inny ojciec jej nie pomyślał? Dlaczego Nuchem ma tak ciężką ofiarę ponieść za innych? Ależ — i oni pomyśleli, inni także



wołali: śmierć mu, śmierć psu, śmierć zbrojowi, wyrzutkowi ludzkiemu! Więc co to jest? Co to znaczy? Los jest niesprawiedliwy, gdy tylko jego jednego pociąga do złożenia ofiary z syna. Dlaczego inni ojcowie nie przechodzą w tej chwili tych strasznych lęków, jakie on przechodzi? Jęknął tedy:

— Boruch, żali ty idziesz sam?

Syn odparł:

— Idę z czterema towarzyszami.

Nuchem odetchnął. Uczuł niewymowną ulgę. Zdawało mu się, że nad głową syna rozpościerają się jakieś skrzydła opiekuńcze. One go zastonią, okryją przed najwię-

kszem niebezpieczeństwem, tyle cudów o nich słyszał!

Nadzieja, złota zwodnica, wstąpiła w serce starego ojca. Wyciągnął ręce do syna i rzekł z niezmiernem uczuciem:

— Boruch! Moje serce mówi mi teraz, że ty nie tylko dotrzesz szczęśliwie, ale i — wrócisz!

Matka zapłakała i zbiła ręce. Boruch uśmiechnął się uśmiechem zachodzącego słońca i wskazał ręką na ścienny zegar.

Ojciec machinalnie powiódł oczami za jego ręką w stronę zegara i przybladł. Następnie przyłożył trzy palce do czoła i za-

patrzył się w przestrzeń. A w tej przestrzeni ujrzał na skrzyżowaniu ulic wyniosłą postać w policyjnym stroju. Na rogach ulic stoją żołnierze z karabinami w rękach i śledzą pilnie przechodniów. Koło owej wyniosłej postaci kilku stójkowych i rewirowy. On zawsze o tej godzinie tu staje, wyzywający, dumny, bezpieczny wśród tłumów i wśród tych tłumów niedosięgly. Otoczony ze wszystkich stron tym ruchomym ludzkim pancierzem, temi tłumami, urąga im, poniża je, wśród największego ruchu ulicznego właśnie je zatrzymuje, poddaje brutalnej rewizji mężczyzn i jeszcze brutalniejszej kobiety.

Trzy bojówki nadaremnie uganiały się za nim pół roku. Krył się. Krył a pokazywał. Nie, iżby tego wymagała służba, ale wymagał — postrach. Był bądź co bądź niższym urzędnikiem w długiej drabinie policyjnych stopni, a jednak umiał zdobyć sobie rozgłos ministra. Dał się we znaki całej stolicy. W przeredzone i strachem demoralizowane szeregi służby policyjnej wlewał ducha, świecił przykładem, uczył narażać się, wlażyć w ziejącą paszczę rewolucji i wychodzić z niej cało. On stał się — idea! Póki on tam stoi, póty stoi nieostłabiony stary porządek, który jego ręką prze-

kreślał wszystkie już na papierze istniejące wolności. Nuchem widział go tam w ulicy stojącego, otoczonego policją i wojskiem, wyzywającego całe miasto, pięknego mężczyznę, którego kobiety nienawidziły a chodziły oglądać między piątą a siódmą po południu na tej strasznej placówce poniżania śmiejących o wolności marzyć tłumów.

Stary Nuchem z onej przestrzeni spojrział znowu na ścianę i zegar, którego skazówki posuwały się powoli lecz stale w stronę fatalnej godziny.

Zdawało się, że syn, matka i ojciec my-

śla w tej chwili jedno, albowiem Ruchla, łamiąc ręce, jęczała:

— Jemu nic nie uczynisz a tylko ludzi nazabijas i przeklinać cię będą!

Boruch pomyślał chwilę i odpowiedział:

— Nie da się inaczej... Naradzaliśmy się nad tem długo. On przebiegły, on wie, że go tłum piersiami swemi bezwiednie zakrywa. Co mówię, bezwiednie... Nie, już ludzie mówią: na nic nie patrzeć!... Matko, ludzie syna twego nie przeklinać, ale błogosławić będą. Ofiary teraz muszą być. A zresztą kto wie! Gdy się jest rzeczywi-

ście na wszystko zdecydowanym, może nie być żadnych ofiar, prócz koniecznych...

Stara Ruchla przestała płakać. Patrzyła na syna jak na zjawisko, mające niebawem rozplynać się w mgłę. Pamięta: syn razu pewnego przyniósł jakąś książkę o rodzicach i dzieciach. Pytano w tej książce rodziców, czym jest dla nich dziecko. Jakiś ojciec napisał: dziecko, to moja nieśmiertelność! Ruchla, patrząc teraz na syna, wspominała to zdanie i czuła, że ona nieśmiertelność jakąś wyższa wola jej zabiera. Ach, ma jeszcze inne dzieci, młodsze; zawsze przypuszczała, że wszystkie jednak kocha,

Myliła się, to kochała najwięcej, że pierwsze, że syn, że on syn tak pięknie wyrósł, że był tak przykładowy, że był tak dobry, że dzielił się zarobkiem ze starymi rodzicami, że myślał o rodzeństwie, że choć do partyi należał, nigdy obowiązków miłości względem swoich nie zaniedbał. Patrzy na tego ukochanego syna i w myślach powtarza sobie: ty moja nieśmiertelność!... A syn patrzy na nią również, jakby wszystko wyraźnie czytał w jej myślach, ale już przybrany na tę podróż ostatnią, na tę drogę bez powrotu na ten pochód srogi, w tym płaszczu,

w tym kapeluszu. Odejdzie — czy w nieśmiertelność?

W tej chwili Boruch wyciągnął do niej ręce i szepnął:

— Pobłogosław mnie, matko, na tę drogę...

Matka wstała, szybko dłońmi otarła policzki, uśmiechnęła się dziwnie błogo. Zbliżył się ojciec blady, uroczysty. Ścisnęli się za ręce, pocałowali. Matka szeptała jakieś czułe, choć niezrozumiałe słowa, a stary Nuchem, uniesiony jak patriarchy Jakób, począł też jego słowami z księgi Berejszys odmawiać nad pochyloną głową syna:

„Niech błogosławi Pan twej męce

„I niechaj na twej głowie

„Błogosławiące złożą ręce

„I ojciec i przodkowie,

„Niech błogosławią ciebie nieba

„I całej ziemi kraniec!

„Tyś jest, którego ludowi potrzeba,

„Tyś — — “

Nie dokończył zachłysnął się płaczem, równocześnie zaś Ruchla osunęła się do nóg syna i poczęła go całować po rękach. Boruch szybko przyłożył usta do jej czoła, następnie oburącz przytulił do piersi głowę

ojca, szepnął: „ostańcie zdrowi“ i popatrzywszy na zegar pośpiesznie wyszedł.

*

Wzdłuż obu chodników ulicy Marszałkowskiej płynęły dwie rzeki publiczności, tej ruchliwej wartkiej publiczności warszawskiej, która się zawsze spieszy a szczególnie o tej godzinie. Zwłaszcza na zbiegu z ulicą Świętokrzyską panował ścisk niesłychany. Od Saskiego Ogrodu i od Bagna nadjeżdżały raz za razem tramwaje, których dzwonki hamowały ruch uliczny. Powyżej krzyżujących się ulic przy słupku przystan-

kowym kupiły się gromady pasażerów, czekających nadjeżdżającego wozu. Śród tego wszystkiego mijały się jeszcze dorożki, powolniejsze jednokonki i pędem lecące „gumy“. Ruch uliczny był w tym miejscu czemś żywiołowem. Nie kierowała nim żadna ręka policjanta. Publiczność, jak nadbiegająca rzeka, wzbierała na chodniku ni-
by u tamy, czekając, aż tramwaj przejechał, następnie przelewała się falą na drugą stronę ulicy i chodnikiem toczyła się dalej. Czterech żołnierzy na czterech rogach ulic stało, gapiąc się na wystawy sklepowe, lub na przechodzące kobiety; stójkowy zaś, czle-

czyna z miną dość rzadką, stał w środku skrzyżowania ulic i od czasu do czasu, jak automat, lewą ręką wskazywał jadącym z lewej dorożkom, by jechały po lewej, a prawym po prawej. Dorożkarze nie zwracali na niego najmniejszej uwagi. Niektóry nawet, popędzając szkapinę z ową chroniczną gorączką w głęboko zapadłych ślepiach, ukąsił go w przelocie batem w ucho. Stójkowy ogarnął się jak od komara, nie robił awantury jak dawniej, nie zatrzymywał dorożki, nie notował numeru; gapił się tylko w głąb ulicy i polecając duszę Bogu machinalnie gestykulował — lewym w lewo,

prawym w prawo. A wśród tego żywiołowego ruchu ulicznego panował porządek, jaki tylko żywioły znają, wiatry, rzeki, obroty ciał niebieskich. Wszystkie aberracje nawet były naturalne, perjodyczne, powtarzające się niemal z matematyczną ścisłością. Ulica była jak wielki młyn, który ogłusza hałasem, a zdumiewa ładem.

Nagle żywioł ten doznał jakiegoś zakłócenia. Dorożki poczęły się najeżdzać wzajemnie; woźnice, obracając się w tył, unosili na znak baty w górę; tramwאיści gwałtownie dzwonili, zatrzymując wozy; na chodnikach tworzył się ścisk, tu i ówdzie na-

wet rozległy się krzyki, jak podczas traktowania. I oto zapanował nieład. Z tramwajów, które musiały stanąć, utworzyły się po obu liniach długie pociągi. Tak samo działo się z dorożkami. Co się dzieje? pytano dokoła. Ktoś zawołał półgłosem ostrzegawczym: Rewizya paszportów i przecho-dniów! Kto ją robi i poco? Ale publiczność znalazła rychło odpowiedź. Wszak to godzina piąta! To „on“ wyszedł ze swego cyrkułu, minister spraw wewnętrznych ulicy Marszałkowskiej z przyległościami, najjaśniejszy pan lewej części jedenastej dzielnicy śródmiejskiej! U góry zmieniają się

ministrowie, ich pomocnicy, dyrektorowie departamentów; on na dole, niezmienny, zły duch ulicy, krwawy paragraf prawa kądka; odważny za piętnastu swoich wstępnych przodków hierarchii urzędniczej, pomsta za ich urażoną dumę, zadośćuczynienie za ich ograniczoną przez rewolucyę samowolę. Nieuchwytne legje bojowców rozbijają monopole, rabują rządowe kasy, łupią w biegu pocztowe pociągi, sprzątają generałów, prokuratorów, rewirowych, stójkowych, szpiegów; on na bezbronnej publiczności wywiera za to wszystko pomstę, on ją karze, jak matkę za syna; ale nie-

tylko karze, poniża ją, a to poniżanie jest dla niego rozkoszą.

— Stać! — zakomenderował.

I żywioł ludzki stanął.

— Ręce do góry!

I seciny rąk zawisły w powietrzu.

Przystojny i elegancki komisarz przeglądał paszporty i wszelkiego rodzaju dowody legitymacyjne, gdy żołnierze zanurzali ręce w kieszenie przechodniów, przeciągali je wzdłuż nóg, pleców i piersi rewidowanych, w grubiański sposób obszukując stare kobiety, młode dziewczątka, pensyonarki, podlotki, dzieci.

— Do cyrkułu! zakomenderował komisarz, znalazłszy u kilku przechodniów papiery jakoby podejrzone.

— Wal go! krzyknął żołnierzowi, ukazując jakiegoś rzemieślnika, który coś burknął pod nosem.

Żołnierz uderzył owego człowieka kolbą w pierś. Ten opadł na ścianę, zachwiał się, krew buchnęła mu ustami, padł.

— Zatelefonować po pogotowie! komenderował przystojny, elegancki, zawsze równy w okrutnym spokoju komisarz.

Jeden ze stójkowych odszedł spełnić rozkaz. Komisarz poczuł na sobie jakieś spoj-

rzenie. Odwrócił głowę. Stał w nieznacznem oddaleniu czupurny uczeń i mierzył go spojrzeniem wyzywającym.

— Aresztować go! rzekł komisarz spokojnie.

— Kanalja! mruknął przez zęby uczeń.

— Iwan, zawołał komisarz, zwracając się do rewirowego — temu smarkaczowi — tu zniżył głos — różgi!

Chłopak wywinął się żołnierzom, przyskoczył do komisarza i chciał uderzyć go w twarz. Ten, silny mężczyzna, chwycił podniesioną rękę dzieciaka, zgiął w dół, chłopak przykląkł, sycząc z bólu, komisarz zaś

puścił go i kopnął, a żołnierze bili kolbami.

W ulicy zapanowała głusza.

— Dosyć! zakomenderował komisarz.

Zaprzestano rewizji.

— Ręce w dół!

Seciny rąk opadły.

— Rozchodzić się!

Spiętrzona rzeka publiczności, potoczyła się chodnikiem, deptąc się jednak wzajemnie i popychając.

— Prędkiej! wołali żołnierze, grożąc kolbami.

Zadzwończyły dzwonki tramwajowe, ru-

szyły wstrzymane wozy, potoczyły się stłoczone dorożki, szybko snuła się chodnikami wybladła publiczność. Komisarz zarządził oczyszczenie ulicy z rannych i z ich krwi, spojrzął na zegarek, raz jeszcze powiódł oczyma w lewo i w prawo, następnie ruszył na środek ulicy wprost wyłotów przecznicy, stanął lewą nogą na żelaznej krąglicy wodociągów, jak tryumfator, zwycięzca ulicy — widoma reprezentacja samowładztwa z lewej części jedenastej dzielnicy śródmiejskiej.

Wtem w odległości kilkuset kroków rozległy się szybko po sobie, dwa strzały.

Komisarz odwrócił się. Stójkowi przybiegli do niego, salutując.

— Co to? Gdzie to?

— Zdaje się, że strzały. Jakby na Złotej...

— Nie, jakby na Chmielnej.

— Nikita! Bierz dwóch żołnierzy i biegnij na miejsce. A zdaj mi sprawę natychmiast.

Stójkowy i żołnierze zatrzymali jedną z przejeżdżających dorożek, wskoczyli, kazali się wieść pędem.

Komisarz powiódł okiem dokoła. Jeszcze czterech żołnierzy miał przy sobie i je-

dnego stójkowego. Właściwie było mu już pilno do cyrkułu, już swoje odrobił, już przypomniał publiczności miłą grozę stanu wojennego. Ale jeszcze stał, jeszcze nie odchodził, jeszcze chciał patrzeć na te fale karnych tłumów, znoszących w milczeniu wszystkie poniżenia, tych tłumów ucywilizowanych, wielkowiejskich, domagających się jakiejś głupiej autonomii, udziału w stanowieniu praw i tym podobnych europejskich naleciałości. Z głębin tych tłumów otrzymał siedm wyroków śmierci. Strach i wściekłość jak dwie barwy Syrjusza migotały naprzemian w jego duszy. Wście-

kłość tłumiała strach, a strach łagodził wściekłość. Urodzony psycholog, wiedział, jak postępować. Kilka miesięcy od ostatniego wyroku — i nic. Toteż wzbierało w nim poczucie dumy i siły. Właśnie przed dwoma dniami otrzymał wyrok ósmy. „Nie zginiesz od kuli, bo to śmierć dla ciebie zbyt szlachetna; zostaniesz powieszony przed domem, w którego dziedzińcu przed pół rokiem kazałeś roznieść na bagnietach dwie Bogu ducha winne służące“. Komisarz wykrzywił się pogardliwie. „Przechwałki jakiegoś bezsilnego głupca“, pomyślał. Nic mu nie zrobią. Los sprzyja mu, on zajdzie daleko, już niejednen

z takiego został oberpolicmajstrem, ba, ministrem... A jeszcze w takich czasach! Dziś trzeba ludzi silnej ręki. A on jest rzeczywiście człowiekiem ręki silnej, żelaznej. Właściwie on dziś jest oberpolicmajstrem miasta Warszawy... Czyż nie? Oberpolicmajster nie śmie wyjrzeć z ratusza; generał-gubernator siedzi jak trusia na Zamku. Oni wszyscy — co to gadać — boją się! On zaś nie boi się, to wie każdy i widzi każdy. Wszak i wzrost ma on na wysoko postawioną osobę. Francuskiego się poduczy. Piękna kochanka, dla której prowadzi drugi dom wzorem arystokratycznych oficerów z kon-

nicy, parluje z nim dzień w dzień. Niema to jak — żywa gramatyka! Wysoko postawione osoby mają zwykle duży wzrost i mówią gładko po francusku. A także muszą mieć tupet. On ma tupet. Jemu sam oberpolicmajster powiedział: „Piotrze Aleksiejewiczu, wy macie tupet! Ja na was bardzo liczę“. Liczy na tupet i mówi „wy“, choć baron, gdy tamten poprzedni właśnie zarzucał mu zbyt ni tupet, mówił mu „ty“, a czasem nawet kpał. No, nie było jeszcze wtedy rewolucji. Rewolucja dla policji jest tem samym, czem wojna dla wojska. Jedyny czas dla szybkiego odznaczenia się. A jak ta

rewolucja idzie pomału, to trzeba ją niekiedy szturknąć, aby szła prędzej. I dochody są całkiem inne podczas stanu wyjątkowego. Restauracje wedle przepisów otwarte do dziewiątej. Sto rubli na stół — i mogą być otwarte do dziesiątej. Wtóre sto rubli i do jedenastej. Trzecie sto rubli — i do dwunastej! Czwarte sto rubli — a hulaj sobie całą noc! Przecież taki, co hula, rewolucji nie robi. Niech tedy hula, co to szkodzi państwu! Więc można żyć. Trochę to życie jest niebezpieczne, trochę trzeba uważać, ale i na tem koniec. Trzeba mieć szczęście. Kto chce zostać wysoko postawioną

osobą, ten koniec końców musi mieć tylko gołe szczęście. A on ma szczęście, ma wielkie szczęście!

Ale dlaczego Nikita nie daje znać? Dlaczego nie przysłał bodaj żołnierza z wiadomością? Komisarz popatrzył na swoją eskortę, wahał się jeszcze, chciał ze stojkowym odkomenderować bodaj jednego żołnierza, ale nie mógł się zdecydować. Popatrzył na zegarek i postanowił czekać minut pięć.

Znowu zwrócił się w stronę Ogrodu Saskiego. Stał jak posąg z nogą opartą na żelaznej krąglicy wodociągowej. Lubił tak stać, twardo stać, na mocnej, żelaznej podstawie.

Właśnie u wylotu ulicy Świętokrzyskiej ukazał się jakiś młody człowiek w pelerynie zapiętej pod szyję i w miękkim kapeluszu filcowym. Jak cień ruszył w poprzek ulicy, minął żołnierza, któremu na „podejrzanego“ wydał się za porządnie ubranym, minął z tyłu komisarza, w tej chwili uniósł w górę jakiś przedmiot i nie zatrzymując się ani sekundy cisnął go za siebie, trafiając w żelazną kraglicę wodociagową.

Drgnęło okropnie powietrze od wybuchowego gromu, dzwignął się strzelisty, czerwony język ognia, wstał tuman perłowy, dwa skłębione ciała uniosły się w górę

na wysokość półpiętra i opadły zmiażdżone. Tłumy, dorożki, tramwaje, ludzie i zwierzęta, wszystko stanęło jak sparaliżowane piekielnym wstrząsem. Po chwili, nibydeszcz po uderzeniu piorunu, ozwał się plusk tysięcy potłuczonych szyb. I znowu po chwili dał się czuć przeraźliwy, duszący swąd powybuchowy. Nagle sparaliżowana ulica drgnęła. Najpierw, hen, daleko, jak okiem sięgnąć, tłumy jęły uciekać z przeraźliwym krzykiem. Niektórzy, jak błędni, biegli naprzód z wyciągniętymi rękami, a z ust ich dobywało się obłąkane: „a—a, a—a!“ Na środku ulicy, w kałuży krwi, leżały zwłoki

okropnie poszarpanego komisarza, tuż obok wyl się stójkowy w ostatnim kurczu śmierci. Opodał jakiś przechodzień stał zmartwiały i z osłupieniem patrzył na ociekającą krwią rękę swoją. Lecz ktoś go szarpnął i zawołał: „Zmykaj pan, póki czas!“ Ranny poczał biedz, ale wpadł na żelazny opłotek kasztana i runął. Po drugiej stronie leżał na chodniku jakiś przechodzień ze zmiążdżoną nogą. Tymczasem dur wybuchowy mijał; tłumy, znajdujące się bliżej miejsca katastrofy, poczęły także uciekać, w ucieczce tej tratując się i przewracając.

Młody ów człowiek w pelerynie, który

rzucił za siebie przyrząd wybuchowy, niby cudowny ludzki mechanizm, raz w bieg wprawiony, mimo straszliwego wstrząsu atmosfery, szedł ciągle przed siebie, na ślepo, w obranym przed wybuchem kierunku, kiedy nagle spotkał się twarz w twarz z żołnierzem. Ten uniósł w górę kolbę i zamierzył się. Byłby mu na pewno strzaskał czerep, ale jakaś niewidzialna ręka podbiła w górę karabin, Boruch zaś, albowiem on to był, trzymanym w lewej ręce brauningiem uderzył żołnierza w twarz, miażdżąc mu nos. Żołnierz zalał się krwią i padł. Ale w tej chwili drugi żołnierz wy-

palil z karabinu. Boruch drgnal, skurczył się, padł. Nad jego głową rozległ się strzał brauningowy. Żołnierz który do Borucha wypalił, upuścił karabin, rozkrzyżował ręce, padł na bruk i poczał drgać. Ale teraz żołnierze z przeciwległego rogu poczęli strzelać. Boruch otrzymał jeszcze jeden postrzał w nogę. Brauningi jednak odpowiadały raz po raz na strzały karabinowe. Boruch posłyszał obok siebie jęk. Padł jeden — z osłony. Boruch z nadludzkim wysiłkiem dźwignął się, tamując ręką ranę na piersi. Biegł kilka kroków, znowu padł. Rzęząc

śmiertelnie, czołgał się na czworakach pustym chodnikiem. Nie słyszał już nic, szum napełnił mu uszy; widział zaś, jak przez mgłę. Z lewej strony brama. Czołga się tam. Krew niby czerwona nie Arjadny wlecz się za nim przez labirynt śmierci. Jakaś paka. Między nią a murem przedział. Wczołgał się tam. Opadł twarzą na kamienie i wyciągnął się.

— Boruch, rozległo mu się nad uchem.

Chłopak odwrócił nieco zapyloną twarz z półodemkniętymi powiekami, modre jego oczy stały się mętne, sine usta szeptały niewyraźnie:

— Zdaje się... zdaje się... że wszystko w porządku...

— W porządku, drogi przyjacielu!

— Ja, albo on... w porządku.

— Pozwól, dźwignę cię, może ukryć zdołam.

Właśnie na miejsce katastrofy nadbiegł pierwszy oddział wojska i począł dawać salwy we wszystkich kierunkach, szerząc wszędzie spustoszenie i lęk. Boruch, który już tego nie słyszał, mrucał z trudem:

— Idź... myśl już tylko o sobie... szkoda cię... Zemną już... powiedz rodzicom... w porządku...

Na ustach pokazała się krwawa piana. Konał.

*

Jest na cmentarzu żydowskim grób, przybierany ciągle świeżymi kwiatami. Na grobie tym widnieje napis: „Boruch, młody bojowiec, poległ za wolność“.

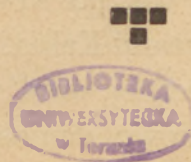
Codziennie gromadki robotników-chrześcijan grób ten odwiedzają. Niekiedy napływa także inteligencja. Czasem z kilkudziesięciu piersi zabrzmie nad grobem śpiew: „My nowe życie stworzyc sami!“ Policja omija święty gaj. Cmentarnicy prowadzą

przybyszów na ten grób, pokazują napis, kwiaty, czerwone wstęgi wieńców, hasła na nich wyszyte.

Święty gaj ma duszę. A zwłaszcza ma ją od czasu, kiedy przybył ten grób. Rzekłbyś, że grób ten poległym ciałem wypełnił jakąś wielką przepaść pomiędzy dwiema religiami. Przestały to być dwie zwaśnione siostry, które swoje potomstwo odsuwały od ciotczynej gromadki, a wydzierając sobie kromki chleba, kamienie i przekleństwa rzucały gromadce z naprzeciwka. Może jeszcze tam w górze, na pierwszych i drugich piętrach siostry-chuliganki, obezwła-

dnione strachem i tym strachem spodłone, boczą się na siebie i podmawiają. Ale tu w dole już się pojednały. Tu w dole ewangeliczna Marja i biblijna Rachela schodzą się na grobie młodego żyda-bojownika, jak dwie pogodzone krewniaczki u mogiły współumiłowanego młodzieńca - mistrza. Gdzieś daleko, bardzo daleko, węgli się Białystok, nie otarł jeszcze rąk po krwi Kiszyniów i Homel świeci oczami Kaina. Gdzieś bliżej, lecz w górze społecznej, wśród nor redakcyjnych dwie narodowe demokracje, polska i żydowska, toczą jeszcze pianę swoich ekskluzywizmów. Tu, w świętym gaju, u gro-

bu Borucha, w zgodny chór braterskiego szeregu roboczego, z piersi Aryjczyka i Semity płynie śpiew wiary, nadziei i miłości, tych cnót ewangelicznych, zdeptanych brutalnie przez ludzi orłów i pastorałów a wskrzeszonych przez ludzi — młota i kielni.



Biblioteka Główna UMK



300050099943

